NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 15 Katowice, 17-go kwietnia 1932

Na niedzielę 3-cią po Wielkanocy.

EWANGELJA

u św. Jana, rozdz. XVI, wiersz 16—22.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów Swoich: Maluczko, a już Mnie oglądać nie będziecie, i znowu maluczko, a ujrzycie Mnie, bo odchodzę do Ojca. Niektórzy więc z uczniów Jego mówili między sobą: Co mają oznaczać Jego słowa do nas: „Maluczko — a oglądać Mnie nie będziecie, i znowu maluczko — a ujrzycie Mnie“ — i: „odchodzę do Ojca“? Pytali się więc: Co może oznaczać „maluczko“? — Nie wiemy, o czem mówi!

Jezus zaś poznał, że chcieli Go zapytać, i rzekł im: Rozprawiacie o tem między sobą, żem powiedział: „Maluczko, a oglądać Mnie nie będziecie, i znowu maluczko — a ujrzycie Mnie“. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: wy będziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił. Wy wprawdzie smucić się będziecie, ale smutek wasz w radość się przemieni. Niewiasta boleje, gdy rodzi, bo nadeszła jej godzina; ale gdy porodzi dzieciątko, nie pamięta już o ucisku z powodu radości, że człowiek przyszedł na świat. Tak i wy: teraz wprawdzie się smucicie, ale ponownie was zobaczę i rozraduje się serce wasze, a radości waszej nikt wam nie odbierze.

Na uroczystość Opieki św. Józefa.

(W trzecią niedzielę po Wielkanocy)

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdz. III, w. 21—22.

Onego czasu: I stało się, gdy był chrzczon wszystek lud, i gdy Jezus był ochrzczon, i modlił się, że się niebo otworzyło, i zstąpił nań Duch Św. w osobie cielesnej jako gołębica; i stał się głos z nieba: Tyś jest Syn mój miły, w tobiem upodobał sobie. A ten Jezus poczynał być jakoby w trzydziestu lat, jako mniemano, syn Józefa.

Pan Bóg czuwa nad tajemnicą spowiedzi.

Papier robią ze starych szmat, a atrament z różnych czernideł i wody. Dlatego nie można się dziwić, że na cierpliwym papierze przewrotni ludzie wypisują tyle łotrostw, oszczerstw i bzdur, do jakich między innemi należy twierdzenie: **„Przecież kapłani mogą zdradzić to, co im w spowiedzi ludzie wyznają...“**

Czy więc rzeczywiście kapłan może zdradzić, co usłyszał w spowiedzi?

Tajemnica spowiedzi obowiązuje kapłana zawsze i wszędzie. Co usłyszał w konfesjonale, spoczywa w piersi jego, jakby pochowane głęboko pod ziemią. **„Co wiem ze spowiedzi, jeszcze mniej wiem, niż to, czego wogóle nie wiem“**, tak pisze już w 4 wieku św. Augustyn.

Od owej błogosławionej chwili, gdy apostołowie i ich następcy otrzymali władzę odpuszczania grzechów, P. Jezus czuwa nad tajemnicą spowiedzi. **W ciągu 1900 lat byli kapłani, którzy sprzeniewierzyli się swemu szczytnemu powołaniu i święte swe śluby podeptali lub skończyli życie w domu obłąkanych, lecz tajemnicy spowiedzi żaden nie złamał.**

Nieraz się zdarzyło, że spowiednika pozwano przed sąd i zażądano zdradzenia tajemnicy spowiedzi. Lecz żadna potęga ziemska nie zdołała wymusić takiego zeznania. Wtrącano kapłanów do więzienia, torturowano, karano ich nawet okrutną i męczeńską śmiercią, a jednak **żaden nie zdradził tajemnicy spowiedzi.**

Taką śmierć męczeńską poniósł św. Jan Nepomucen.

W roku 1888 ks. prob. Dumoulin z St. Victoria w diecezji Aix we Francji był oskarżony o morderstwo. Tajemnica spowiedzi zamykała mu usta. Został skazany. Długie lata niewinnie cierpiał i milczał, aż nareszcie wykazała się niewinność jego.

Ks. Kobyłowicz z Oratowa na Ukrainie ok. r. 1862 został oskarżony o morderstwo ekonoma Pitrowa i skazany został na dożywotnie ciężkie roboty na Syberji. Dopiero po 20 latach wykryto jego niewinność. Organista umierając zeznał przed władzą, że to on przed 20 laty popełnił to morderstwo, aby ożenić się z żoną zamordowanego, że następnie strzelbę księdza schował za wielkim ołtarzem, oraz że oskarżonemu kapłanowi spowiadał się ze swej zbrodni aby zmusić go do milczenia. Następnie tak pokierował badania policji, że znaleziono za ołtarzem strzelbę, wykazującą świeże ślady używania. Sąd po 20 latach wydał rozkaz uwolnienia skazanego kapłana. Lecz dyrektor więzienia przesłał odpowiedź: „Ks. Kobyłowicz przed 4 laty umarł, wyczerpany przez ciężkie roboty. Był zawsze cichy i prawie stale się modlił.“

Dnia 17 marca r. 1620 umarł **ks. Jan Sarkander z Goleszowa** na Śląsku, policzony w poczet błogosławionych. Umarł śmiercią męczeńską w Ołomuńcu, za tajemnicę spowiedzi, której mimo okropnych tortur nie zdradził.

Ks. wikarjusz Faulhaber **z Kłodzka na Śląsku** w roku 1757 poniósł śmierć na szubienicy, ponieważ przed sądem nie chciał nic zeznać z tego, co na spowiedzi usłyszał.

Dnia 23 września 1825 hiszpański dowódca brygady Rodil rzekł do ojca Marielux: „Ojcze Marielux! Z pewnością rewolucjoniści, których skazałem na śmierć, wyznali swe zbrodnie Ojcu w

spowiedzi. W imieniu króla żądam, aby Ojciec wszystko powiedział, co ci zbrodniarze wyznali na spowiedzi". Ojciec Marielux: „Generale, żądacie odemnie rzeczy niemożliwej, bo ja nie poświęcę swej duszy przez zdradę tajemnicy spowiedzi". Na co dowódca brygady: „Mnichu! Albo powiesz mi wszystko, albo cię zastrzelę!" Ojciec Marielux: „Jeżeli Pan Bóg chce mej męczeńskiej śmierci, niech się stanie święta wola Boża!" Dowódca brygady: „Mnichu! Zdrajco króla, czy nie chcesz wyznać?" O. Marielux: „Jestem wierny memu królowi, lecz mego Boga nie zdradzę!" Dowódca brygady, zawoławszy 4 żołnierzy z naładowanemi karabinami: „Na kolana, mnichu! Ognia!" O. Marielux padł martwy na ziemię.

Jednak Pan Bóg czuwa nad tajemnicą spowiedzi!

Wierny aż do śmierci.

W zamku swoim w Sibillenort na Śląsku niemieckim zmarł w lutym rb. były i ostatni król saski Fryderyk August III. Pochowany został w zamkowym kościele katolickim w Dreźnie, w grobowcu królów saskich. Trumnę ze zwłokami ostatniego króla, poprzedzoną licznem duchowieństwem, przy dźwiękach organów w uroczystej procesji wniesiono do kościoła i ustawiono na katafalku przed stopniami wielkiego ołtarza. Setki tysięcy ludzi przybywały przez cały dzień do mar ukochanego króla. Następnego dnia biskup miśnieński, którego diecezja obejmuje całe byłe królestwo saskie, celebrował uroczystą Mszę żałobną w asyście licznego duchowieństwa, przybyłego ze wszystkich stron Saksonji, aby podziękować byłemu królowi za wszystko, co uczynił dla Kościoła katolickiego podczas swego panowania. — Spełniając życzenie umarłego, spowiednik jego, ks. prał. Mueller, wygłosił krótkie przemówienie żałobne. Rysem najbardziej charakterystycznym umarłego króla była jego wierność względem Boga i jego silna wiara, niezachwiana żadnemi ciosami; tę wiarę zachował zmarły król wiernie do ostatniego tchu i wyznawał ją słowem i czynem. Codziennie uczęszczał na Mszę św. Piękny i wzruszający to był widok, gdy w dnie powszednie widywano już na pierwszej Mszy św. o godz. 6 rano króla, klęczącego między prostym ludem. W każdą niedzielę i święto przyjmował Komunję św. i regularnie się spowiadał. Z wielkiem skupieniem słuchał co niedzielę Słowa Bożego, a nawet w dniach powszednich nieraz wyrażał życzenie wysłuchania kazania. Nigdy kazań nie krytykował lecz w głębokiem skupieniu rozważał wieczne prawdy, które usłyszał.

Dzieci swoje kochał prawdziwie ojcowską miłością i czuwał bardzo gorliwie nad religijnem ich wychowaniem. Codzień odmawiał razem z niemi modlitwę do Św. Rodziny. Najstarszy syn, były następca tronu, Jerzy, wstąpił do zakonu OO. Jezuitów.

Nigdy nie słyszano skargi albo wyrzutów z ust jego. Najboleśniejsze ciosy przyjmował z cichem poddaniem się woli Bożej. Nigdy nie oskarżał tych, którzy mu krzywdę wyrządzali i jeszcze w testamencie swym zapisał piękne słowa: „Przebaczam wszelkie krzywdy, mnie wyrządzone, czy słowem czy czynem, i do nikogo nie mam urazy".

Teraz szlachetny król spoczywa w grobie swych przodków, w pobliżu Pana Jezusa, któremu zachował wierność aż do śmierci.

Nagrodzona miłość rodziców.

Pewien pułkownik zaprosił do siebie na obiad kilkunastu swoich oficerów. Wśród nich znajdował się Karol S., młody oficer, który był synem ubogich rodziców. Gdy się obiad skończył i goście jeszcze siedzieli przy stole, rozmawiając, pułkownik pokazał im nadzwyczaj piękną złotą tytonierkę, która przechodziła z rąk do rąk, a wszyscy ją podziwiali. Po pewnym czasie pułkownik potrzebował tytonierki, aby zapalić cygaro, obszukał wszystkie kieszenie, ale jej nie znalazł. Mówi więc zakłopotany:

— Gdzieś mi się zapodziała moja tytonierka, zobaczcie no moi panowie, czy jej kto nie położył w roztargnieniu gdzieś w ukryciu.

Wszyscy zaczęli szukać, ale nigdzie nie było tytonierki. Oficerowie wywracali nawet swoje kieszenie, ale zguba się nie odnalazła. Tymczasem Karol S. siedział spokojnie i rzekł w końcu:

— Ja nie wywrócę moich kieszeni, bo powinno wystarczyć moje słowo honoru, że nie mam tytonierki.

Mówiąc te słowa, młody oficer poczerwieniał.

Kiwając głowami i szepcąc coś tajemniczo, rozeszli się oficerowie. Każdy był pewny, że Karol ukradł tytonierkę.

Następnego dnia wezwał pułkownik Karola do siebie i mówił z radością: „Znalazła się zguba. Ja sam włożyłem ją w roztargnieniu do szuflady i dzis ją tam znalazłem. Ale proszę mi powiedzieć, panie poruczniku, dlaczego nie chciałeś wczoraj pokazać swoich kieszeni?

— Panu pułkownikowi chętnie to powiem. Mam biednych rodziców i posyłam im co miesiąc połowę mojej gaży. Muszę przeto starać się o jaknajskromniejsze utrzymanie i dlatego na obiad nie jem nic ciepłego. Zanim wczoraj zostałem zaproszony do p. pułkownika na obiad, już miałem w kieszeni na obiad chleb i kiełbasę. Jakżebym się musiał wstydzić moich bogatych kolegów, gdyby przy pokazaniu moich kieszeni, zobaczyli to moje przygotowane jedzenie.

— Pan jesteś dobrym synem — rzekł pułkownik wzruszony. — Ażebyś pan mógł nadal łatwiej wspomagać swoich rodziców, zapraszam pana do siebie na obiad codziennie.

Jeszcze tego samego dnia zgromadził pułkownik wszystkich oficerów, oświadczył wobec nich, żet Karol S. jest niewinny, a nagradzając jego wielką miłość dla rodziców, podarował mu ową złotą tytonierkę. Nadal też okazywał pułkownik młodemu oficerowi swoją przychylność, popierał go szczerze i wyszczególniał, a Karol, trwając niezmiennie w wielkiej miłości dla rodziców, rozwijał swoje piękne przymioty, awansował coraz wyżej i został w końcu generałem.

Zawsze spełnia sie na dzieciach to wielkie przykazanie Boże: „Czcij ojca twego i matkę twoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło".

Stłuczona butelka.

W ciemnym kącie małego, nędznie urządzonego pokoju siedział mały chłopczyk i trzymał w rączkach dużą stłuczoną butelkę. Ojcem chłopca był cieśla Jan Wirski, dzielny robotnik, lecz niestety, pijak w całem znaczeniu tego słowa. Gdyby go się kto spytał, co więcej kocha, syna czy wódkę, byłby z oburzeniem odpowiedział, że naturalnie

syna, ale całe jego postępowanie najlepszym było dowodem, że chyba butelka milsza mu była, niż dziecko.

Mały Karolek trzymał więc stłuczoną butelkę i wpatrywał się w nią uważnie.

— Nic w niej nie widzę, — szepnął nareszcie i głośnym wybuchnął płaczem.

— Czego beczysz? — dał się nagle słyszeć głos ojca z przyległej izby i równocześnie stanął Jan na progu.

— Kto stłukł moją butelkę? — krzyknął groźnie.

— Ja! — odrzekł Karolek, — drżąc ze strachu.

— Czemu?

— Bo — bo — chciałem — z butelki wyciągnąć — konika...

— Czyś ty zwarjował? — zawołał Jan. — Od kiedy siedzą konie w butelkach?

— Ja nie wiem, ale mama tak mi powiedziała! Wczoraj prosiłem ją, aby mi kupiła takiego konika na kółkach, jakiego dostał Staś i Józio — chciałem się tak chętnie z nimi pobawić. Ale mama wskazała na tę butelkę i rzekła, że konik i nowe ubranie i wiele innych rzeczy siedzi w niej. Myślałem więc, że jak ją stłukę, to wyjmę wszystko, co w niej jest. Ale nie znalazłem nic oprócz trochę ostrej, szczypiącej wody...

I Karolek znowu płakać zaczął.

Jan usiadł na ławie, ukrył twarz w rękach i zamyślił się głęboko.

Tak, butelka zabierała mu zwolna wszystko! Gdyby był miał przeszłego roku trochę pieniędzy, nie byłaby może umarła córeczka jego, Zosia — lekarz kazał dawać dziecku pożywne jedzenie i trochę wina, a żona Jana nic kupić nie mogła. Owa nieszczęsna butelka pochłaniała wszystko, co zarobił. Żona pracowała, jak mogła, lecz nie zarabiała tyle, aby dom cały utrzymać — z każdego więc kąta wyglądała bieda, a on pił i pił bez upamiętania!

Miała Janowa słuszność, że w butelce siedziało wszystko, całe jej szczęście i dobrobyt rodziny.

Lecz teraz była butelka stłuczona!

— Dzięki Bogu, że się tak stało! — jęknął Jan, a gorące łzy spływały mu z oczu.

Stłuczenie butelki było dla niego znakiem, że Bóg chce mu pomóc i że najgorszy jego nieprzyjaciel już jest zwyciężony! I w sercu pijaka powstał żal szczery i szczera chęć nawrócenia się z drogi zepsucia i upadku.

Mały Karolek patrzył zdumiony na ojca. Jak droga musiała mu być ta butelka, jeżeli teraz płakał z powodu stłuczenia jej.

— Tatusiu — rzekł cicho — nie płacz! Ja już nigdy butelki nie stłukę. Uczyniłem to tylko dlatego, że chciałem mieć konika!

— Nie, moje dziecko — odpowiedział Jan, biorąc chłopca w objęcia i przyciskając go do serca — zrobiłeś bardzo dobrze, tłukąc butelkę. Sam się wnet o tem przekonasz!

W dwa dni później wrócił Jan trochę później do domu i dał Karolkowi dosyć sporą paczkę.

— Zobacz, co w niej jest — rzekł z uśmiechem.

Karolek rozwiązał sznurek i stanął jak wryty.

W pudełku, na białej bibułce leżał śliczny konik, z uprzężą, na kółkach, większy i ładniejszy, niż konik Stasia i Józia.

— Konik! konik! — wołał uszczęśliwiony chłopczyk, rzucając się ojcu na szyję. — Więc on jednak był w butelce, tylko ja go nie widziałem!

— Tak jest — odparł Jan wzruszony. — Ale nowej butelki nigdy już tu nie będzie! Wszystko jest tak, jak matka mówiła — w butelce były ubrania, jadło i całe szczęście nasze. Pamiętaj tylko Karolku, że co raz w butelce utonie, tego już z niej wyjąć nie można. Przysięgam więc tobie i matce, że nic już odtąd w nią kłaść nie będę.

Marja Czeska-Mączyńska.

Śmierć Marjanny Wielgusowej.

Wyjątek z powieści.

Siedziała jako zwykle koło pieca, skrobiąc dla gadziny ziemniaki, ale jej coś dzisiaj robota nie szła, trzęsło ją zimno, to znowu nachodził gorąc nagły, aż się w oczach mieniło, a drżące palce nie mogły utrzymać noża.

— Co wam?

Przestraszyła się Janielcia, spojrzawszy w szaro-zieloną twarz matki.

— Słabi mnie czegoś, dziecko, słabi... Ani wydychnąć, tak coś pod żebrem żga, że niech ręka Boska broni. Zima trzęsie. Może się trzeba będzie za ojcem zabierać, do gliniaka. A no, wola Boska.

— Co zaś gadacie!? — Oburzyła się Anielka. — Połóżcie się, rumianku wam zaparzę, herbaty z arakiem zrobię, wypocicie się to i przejdzie.

— Może i przejdzie.

Marjanna westchnęła. Dźgało ją w boku od kilku dni, ale nic nie mówiła, bo co ta mówić! Wlazło, to i wylizie, zawdy tak było, że ceregieli ze sobą nie robiła żadnych. Robiła se ta ziółka pokryjomu, piła Boże drzewko i smarowała bok sadłem. A to jak wlazło, tak siedzi, jeno zima coraz większa trzęsie i żar w oczach pali.

A no, przyjdzie śmierć, to ta tyż nic wielkiego, czyste człek ma sumienie, nikogo nie ukrzywdził, nikomu nie zazdrościł, pracował uczciwie, bó! swój życiowy — bo któż go nie ma, jednako nosi go wiejska baba pod zgrzebną koszulą, jak pani największa pod jedwabną — znosiła cierpliwie i Bóg o nim jeno wiedział miłosierny. Przyjdzie umrzeć, no to się i wybierać trzeba, taki już porządek, że się starzy młodym usuwają. Janielka robotna, poradzi sobie a do chałupy i gruntu, przyżeni się bodaj który parobek, już ta przez gospodarza rola nie będzie. A ona sobie pójdzie do starego.

A no, tylochna lat razem się przeżyło, że człowiekowi markotno samemu. Brakuje w izbie postukiwania Wielgusowego młotka i tej ręki, co młotek trzymała, co ze złości wymachiwała i pieściła, jak ta padło, ale zawdy była to gospodarska, miłowana ręka.

Marcjanna patrzyła, nie widząc, jak Anielka łóżko słała, rozstrzepywała poduszki i pierzyny.

— Ligajcie matusiu.

— A no, legnie człowiek i może ta już nie wstanie. Wolo Boska.

Przeżegnała się:

— Kiej czas, to czas.

Rozbierała się powolutku a Anielka paliła w piecu, by herbatę zaparzyć.

— Dobre dziecko, oj dobre! — Myślała Wielgusowa: — Jak sie to ta o mnie stara.

Nagle jednak rozmyśliła się i zaczęła rozwiązane spódnice na nowo zawiązywać:

— Wisz, Janielko, rozmyśliłam się. Niewiada, co ta człowiekowi wypadnie, póki jeszcze siły są, trza do kościoła iść a wyspowiadać się, nie jadłam, ani nie piłam dzisiaj ani kapki od rana, to pońde do kościoła Pana Jezusa przyjąć, a potem se ta już legnę i będzie, jak ta Pan Bóg da.

— A zajdziecie to?

— Już ty sie ta nie staraj, zajdę pomaluśku, słonko świeci, do kościoła nie tak daleko, zajdę.

— Możeby księdza poprosić?

— Tyż! Z rozumu obranaś czy co? Jegomościa po próżnicy może fatygować, kiej siły jeszcze mam. Żga, bo żga i zima trzęsie, ale się ta jeszcze do kościoła dowlokę.

— Pójdę z wami.

— W chałupie ostań, gadzinie trza dać żarcie, krowy podoić. Panu nagotować. Kanyż ta poszedł?

— List dostał i poszedł dziesi.

— Hale! List? To może i pojedzie. Dobry człek a niechby mu ta Pan Jezus miłosierny poszczęścił, żeby do swoich wrócił. Janielciu, daj mi ta tę spódnicę w paski i te chustkę, co to do kościoła. Słonko świeci, może ta jako zajdę pomaluśku.

Szła Marcjanna drogą śnieżną, szła pomaluśku ale i tak, co chwila przystawać musiała, by wydychnąć. I przypomniało się jej, jak po tej samej drodze młodą dziewuchą za bydłem ganiała.

Jak szła potem tedy strojna i radosna w każdą niedzielę a chłopcy oczami za nią wodzili, bo urodna była jak rzadko, i tą drogą do ślubu jechała.

Zdawało się jej, że „Bożyczek" tak przezwany od figur, które rzeźbił, jest znowu przy niej i trzyma znowu jej rękę w swojej silnej, spoconej, rozdygotanej dłoni.

Hej, co to czasu, co czasu... a zda się, że to wszystko wczora dopiero było.

Chryste Panie, a tu starczyło, by się człowiek sterał do cna, by na cmentarzu sześcioro drobiazgu pochował i gospodarza samego.

Oj świecie! Świecie...

A teraz to już pewnikiem ostatni raz po tej drodze idę, a potem to mnie ta już powiozą, do onej świętej ziemi kochanej, której człowiek sługował całe życie, która go karmiła i na śmierć utuli, przygarnie na sen ostatni. Oj czas, czas, dość się człowiek nażył, dość nabiedował, niechta mą raz niedzielę.

Zabielił się wreszcie przed nią kościół, znaczący się białą wieżą na ciemnem tle jodłowych borów.

— A no i doszłam. — Pomyślała z radością wielką Marcjanna, wchodząc wgłąb nawy.

A słońce świeciło, bystre, zimowe słońce, przeciekało przez kolorowe szyby witraży i falą blasków zalewało kościół i zdał się Marcjannie dziwnie inny, świąteczny, niedzielny niby ten tam a przecież inny.

Kochany kościół, który znał jej wszystkie zmartwienia, do którego niosła każdy swój ból i każdą radość, przyjaciel stary, najlepszy, najwierniejszy.

Szła Marcjanna w światło, mrugając oczyma i coś z tego światła spływało w jej duszę, ciszą słodką, dziwną, nieznaną, ukojną.

Może... to Bóg był blisko.

Ksiądz Andrzej właśnie z konfesjonału wychodził i spojrzał w jej twarz sino-bladą i w te oczy, pełne promieni, ciche, radosne, zapatrzone kędyś w dal.

— Co wam to kobieto?

— Do spowiedzi przyszłam, Pana Jezusa przyjąć przede śmiercią.

I podnosząc ku niemu oczy radosne, dorzuciła:

— Bo mi ta już i czas...

Widział djabła.

Kiedy w Hiszpanji rozpowszechniły się rekolekcje, które tam powstały za czasów św. Ignacego, założyciela jezuitów, wtedy często ludzie świeccy zamykali się w domach klasztornych nawet na cały miesiąc na rekolekcje. Inni natomiast, lekkomyślni, kpili z tych dobrowolnych więźniów i rozpuszczali pogłoski, że jezuici na rekolekcjach djabła pokazują. Ciekawi chcieli to zbadać. Zebrała się gromada akademików i ułożyli, aby jeden z nich, największy hultaj, udał pobożnisia i poszedł do klasztoru, niby na rekolekcje, żeby się przekonać, czy tam naprawdę jezuici pokazują djabła. Po tygodniu miał wrócić. O oznaczonej godzinie zebrali się wszyscy, oczekując niecierpliwie wysłannika. Wreszcie nadszedł z twarzą poważnie nastrojoną i jakby zamyślony. Koledzy biją mu brawo, że jeszcze dotąd tak świetnie gra rolę pobożnisia i zarzucali go pytaniami, czy widział djabła. Zapytany podniósł spuszczone dotąd oczy, i rzekł poważnie:

„Tak jest, widziałem djabła, niema z tem co żartować".

Koledzy widząc, że ani poważnego wyglądu, ani tonu mowy nie zmienia, jeszcze natarczywiej poczęli go pytać, co widział. Zaczął opowiadać:

„Gdy zadzwoniłem do bramy klasztornej, wyszedł odźwierny, a ja z udaną miną świętoszka poprosiłem o rekolekcje. Umieścili mię w celi i jakiś siwiuteńki ksiądz staruszek wziął mię w opiekę. Dawał mi nauki i przedstawił mi grzech i obrazę Boga w tak jaskrawych kolorach, że mi wypędził z głowy wszystkie figle i żarty. Wprowadził mię w życie studenckie i jakby czytał w mej duszy, odmalował moje zbytki i grzechy. Kazał mi następnie pójść do kaplicy i samemu w myśli rozbierać rysy tego obrazu. Gdy tak rozmyślam, zdaje mi się, że się ten obraz rusza, coraz się do mnie przybliża i coraz brzydszy się staje. Zadrżałem z przerażenia. — Co to jest, pytam się siebie. Na to coś mi odpowiada w duszy: — Toś ty sam taka obrzydliwa poczwara, gorsza od djabła. Czy się poznajesz? Szukałeś djabła? Sam nim jesteś. — Zdawało mi się, że tracę zmysły i ogarnęło mię przygnębienie.

Gdy się z tem zwierzyłem ojcu duchownemu, wlał mi otuchę w serce. Wyspowiadałem się i na nowo odżyłem. Drodzy koledzy, nie kpijmy z życia. Nie szukajmy djabła u jezuitów, on jest w nas samych, ja go widziałem. Ale już nie chcę go widzieć po raz drugi, dlatego żegnam was. Róbcie, co chcecie.

Te słowa wywarły na wielu wrażenie. Spoważnieli i udali się do jezuitów, aby i swojego djabła zobaczyć i precz go przepędzić.